Promyki nadziei

Nr 8 maj 2011

Pismo Fundacji „Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci"

„Moja choroba jest nieuleczalna i czasami daje mi popalić, ale zawsze mogło być gorzej, prawda? Medycyna idzie do przodu i dzieci, które rodzą się teraz i wykrywa się u nich CF, mają o wiele więcej leków do dyspozycji niż ja, gdy byłam mała. Dlatego wierzę w to, że będzie tylko lepiej". Tymi słowami pełnymi nadziei na lepszą przyszłość kończy swą opowieść Karina, 18-letnia dziewczyna chora na rzadką chorobę o nazwie „mukowiscydoza". Całość tekstu dostępna na stronach 4 i 5.

FUNDACJA Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci

Chorych odwiedzać!

Najcenniejszym darem jest po prostu obecność przy chorych i jak się okazuje w praktyce to proste i jasne zadanie jest najtrudniejsze.

Jednym z najsmutniejszych zarządzeń, jakie można jeszcze czasami spotkać na drzwiach niektórych polskich placówek opiekujących się ludźmi chorymi, są godziny odwiedzin pacjentów. Można wprawdzie rozumieć chęć uporządkowania życia i pracy personelu oraz tzw. dobro chorych czy podopiecznych danego zakładu, ale obronić do końca tych ograniczeń się nie da. Co więcej: na owych drzwiach powinny znaleźć się czytelne tablice zachęcające do wejścia, zawierające jasne wezwanie, zawarte w spisie katechizmowych uczynków miłosierdzia co do ciała: chorych odwiedzać! W obecnej sytuacji, jaka dotyka wszystkich potrzebujących medycznej opieki, spełnienie tego postulatu to wręcz być albo nie być chorego czy niepełnosprawnego człowieka! Dlaczego?

Zagrożenia czyhające na chorych w placówkach służby zdrowia

W oparciu o własne doświadczenie, zdobyte dzięki posłudze kapelana szpitalnego i podczas niezliczonych odwiedzin chorych oraz dzięki wielokrotnemu byciu pacjentem, mogę napisać, że marny los czeka chorego, przy którym nikt nie stoi, który w swej walce z chorobą czy niepełnosprawnością jest sam. Sytuacja groźna jest zwłaszcza dla tych, którzy po raz pierwszy w swoim życiu stają oko w oko ze służbą zdrowia.

Już samo sprowadzenie lekarza czy pogotowia do domu chorego (czy też na miejsce wypadku) bywa mimo wszelkich udogodnień trudnością nie do pokonania dla osoby samotnej. Proszę osobiście przekonać się (albo lepiej nie), jak wygląda standartowy proces przyjęcia pacjenta do szpitala (nie mówiąc już o oczekiwaniu na tzw. planowe zabiegi) i co się dzieje, gdy schorowany, bezbronny i zestresowany człowiek wchodzi w tryby szpitalnej machiny.

Kto ma dla pacjenta czas w szpitalu? Nikt. Dobrze, gdy przynajmniej wykonana zostanie na przyzwoitym poziomie usługa medyczna wobec pacjenta.

Bezosobowe traktowanie człowieka, który w uspołecznionej placówce zdrowia jest jedynie jednostką chorobową (a może jeszcze bardziej ekonomiczną), mniej lub bardziej pomyślnie rokującym przypadkiem! Doktorzy nasi kochani: przypadki są tylko w gramatyce! A Wasz język do nas, pacjentów, woła o pomstę do Nieba i do miłośników polskiej mowy: Niech się rozbiera!; jak się czujemy?; niech czeka!.

Niekończąca się ekonomiczna zapaść naszych placówek medycznych i opiekuńczych powoduje, że choremu może brakować podczas kuracji nawet lekarstw, cóż mówić o oprzyrządowaniu czy wystarczającej ilości jedzenia!

Chorzy potrafią popaść w apatię, a nawet depresję, zwłaszcza wtedy, gdy rokowania wobec nich są niepomyślne, a choroba (kalectwo) ma charakter przewlekły lub/i nieodwracalny. Jak łatwo wtedy myśleć o samobójstwie czy dopuszczać myśli o eutanazji!

Nieobce jest w cierpieniu doświadczenie odrzucenia, nieprzydatności, niekochania, wyrzutów sumienia, poczucie bezsensu i rozpaczy. Tragicznego obrazu dopełni brak pieniędzy: biedny (także nieubezpieczony odpowiednio) człowiek niemal od razu znajduje się na straconej pozycji.

Nie mam pewności, czy wyliczyłem wszystkie niebezpieczeństwa na tej czarnej liście powstającej w sytuacji zagrożenia życia i zdrowia ludzkiego. Ale będę szczęśliwy, gdy się okaże, że w tej ocenie nie mam racji i kłaniam się wszystkim, którzy autentycznie realizują podstawowe założenia opieki zdrowotnej: „primum non nocere" (po pierwsze nie szkodzić) i „miser res sacra" (chory rzecz święta) oraz tym, którzy w biedzie nie zostawią swych bliźnich.

Z czym do chorego?

Najcenniejszym darem jest po prostu obecność przy chorych i jak się okazuje w praktyce, to proste i jasne zadanie jest najtrudniejsze!

Usiąść przy łóżku, stracić czas dla cierpiących ludzi, uważnie i cierpliwie słuchać nawet tego, czego odwiedzana osoba nie mówi słowami! Tu jest ogromne pole do uruchomienia wyobraźni i miłosierdzia (umyć, ogolić, dokarmić, przebrać, rozśmieszyć), do udowodnienia przyjaźni, sympatii i wszelkich deklaracji pomocy w potrzebie.

Czasem trzeba stanąć w obronie pacjentów, pokonując własny strach i układy, ale czasem przyjdzie bronić chorego przed nim samym, gdy myślą, mową i uczynkiem występuje przeciw zdrowemu rozsądkowi (niekoniecznie świadomie) i chce łamać przykazanie „Nie zabijaj".

Obecność przy łóżku chorego oznacza aktywny pomost między nim a „resztą świata": rodziną, przyjaciółmi, światem kultury, Panem Bogiem. Dlatego radio czy telewizor, książka, wspólna modlitwa, rozmowa sięgająca poza fizjologię, studiowanie wyników badań laboratoryjnych, wyszukiwanie znachorów czy krytykowanie medyków, to sprawa wielkiej wagi. Nierzadko nasi pacjenci mogliby się nie nudzić i nie leniuchować, gdyby dostarczyć im pomysły i odpowiednie materiały do zagospodarowania ich czasu oraz posiadanych talentów.

Właściwie żadnego z tych zadań nie wykonają lekarze (personel wyższy), pielęgniarki (personel średni), salowe, laborantki (czyli tzw. personel niższy, co za feudalizm!) i nie powinniśmy nawet tego oczekiwać w obecnych realiach. Jednak to, co niemożliwe dla nich, czeka na każdego, kto ma choć trochę wrażliwości i zgodzi się oddać swój czas, rezygnując z kręcenia się wokół siebie.

Zachętą do takiego poświęcenia jest nie tylko nagroda obiecana nam w Niebie (zob. Mt 25, 31-46, opis sądu ostatecznego),

ale też złota zasada, pozostawiona ludziom przez Pana Jezusa: Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie! (Mt 7, 12)

Chory człowieku pomagaj zdrowym ze swego otoczenia

W jednym z wcześniejszych rozważań (odcinek 3) omówione zostały dary świata ludzi cierpiących dla świata ludzi zdrowych. Prawdą jest jednak, że chorzy mogą i powinni pomóc swym opiekunom w znalezieniu się wobec niełatwego zadania, jakie rodzi taka sytuacja. Bo najczęściej jest tak:

♦ Ludzie zdrowi nie chcą przeszkadzać chorym czy nawet umierającym, nie chcą się narzucać, nie chcą być podejrzewani o ciekawość czy inne niecne zamiary. Przede wszystkim zaś bojąc się cierpienia, nie chcą niczym urazić chorego czy jego otoczenia, czując swoją bezradność i niepewność. W związku z tym po prostu uciekają jak najdalej, choć w głębi serca wiedzą, że tak być nie powinno.

♦ Chorzy i ich otoczenie z kolei także nie chcą się nikomu narzucać, sprawiać kłopotu; przeżywają wstyd i upokorzenie, nie umieją prosić. Są przekonani, że to ci inni powinni wiedzieć, powinni się domyślić, jak i w czym pomóc.

Istne błędne koło!

A ponieważ nie wszyscy przeszli osobiście etap życia z cierpieniem w tle (szpitale, niepełnosprawność, samotność w chorobie czy starości), ponieważ niewielu jest wśród nas odpowiednio przygotowanych wolontariuszy i niewielu chętnych do zajęcia się potrzebującymi pomocy, osoby cierpiące i ich otoczenie muszą podjąć pewne działania i to zarówno dla własnego dobra, jak i dla uaktywnienia swych bliźnich.

Pierwszy krok

Pierwszym krokiem powinno być powiadomienie bliźnich o chorobie, wypadku, niepełnosprawności, pogorszeniu sytuacji życiowej, pobycie w szpitalu czy innym zakładzie. Tego wymaga zwykła uczciwość w ludzkich kontaktach. Twierdzenie typu: „nie chcę nikogo martwić” albo „oni powinni się mną interesować” to błąd, bo sami tego nie robimy, zagonieni w codzienności.

Drugi krok

Drugi krok to zaproszenie do spotkania, odwiedzin, rozmowy telefonicznej, napisania listu. Dzięki temu może nastąpić oswojenie otoczenia z nową sytuacją i przyuczenie go do nowych zadań. Tylko wtedy pokonana zostanie przepaść dzieląca zdrowych od chorych.

Trzeci krok

Trzeci krok to wyraźne ujawnienie swoich potrzeb materialnych i duchowych. To jest klasyczne kłamstwo, gdy na pytanie „czego potrzebujesz?” odwiedzający słyszą: „niczego, wszystko mam”. A potrzeby mogą być najróżniejsze: od zaspokojenia głodu, poprzez usługi pralnicze, prawne, gospodarcze, opiekę nad pozostałymi członkami rodziny, aż do potrzeb duchowych czy posługi duszpasterskiej. „Jasne układy czynią jasnych przyjaciół” także i w tej sytuacji.

Jeśli sam potrzebujący nie jest w stanie wyartykułować swoich potrzeb, powinni to zrobić w jego imieniu wszyscy ci, którzy się nim opiekują. Tak więc, chorzy i ich otoczenie muszą umieć również prosić! Chociaż odwiedzanie chorych nie jest „robieniem łaski” ze strony zdrowych (zwłaszcza, gdy uważają się za ludzi wierzących!), to jednak niewdzięczność, brak współpracy z otoczeniem czy zamykanie się w sobie (ucieczka w chorobę) mają moc skutecznego odstraszania nawet najbardziej wytrwałych, warto i o tym pamiętać.

Zdolność do poproszenia o pomoc i gotowość jej przyjęcia wymaga odrobiny pokory i zwykłego uszanowania bliźnich. Inna rzecz, że jeśli całymi latami ludzie podobno bliscy sobie nie mają ze sobą żadnego kontaktu, to trudno oczekiwać jakichś rewelacji w sytuacji choroby czy innego kryzysu czy nieszczęścia.

ks. Aleksander Radecki
kapelan hospicjów archidiecezji wrocławskiej
e-mail: aradecki@pwt.wroc.pl

Karina Zawadzka

Wierzę, że będzie tylko lepiej

Jestem Karina, mam 18 lat, obecnie kończę trzecią klasę liceum i w maju czekają mnie egzaminy maturalne. Rozpoznano u mnie chorobę, gdy miałam dwa miesiące, więc towarzyszy mi cały czas.

Wiadomo, że skoro jest się skazanym na towarzystwo kogoś lub czegoś na całe życie, to czy to się lubi, czy też nie, to tolerować trzeba. Ja ze swoją chorobą uczyłam się żyć od małego, dlatego nie przeszkadza mi ona i „jakoś" się dogadujemy. Choroba, jak wiadomo, z czasem postępuje. Denerwuje mnie w niej to, że bywają dni, kiedy nie mam siły wstać z łóżka, bo jest mi duszno, mam więcej wydzieliny, bardzo szybko się męczę, a sama myśl o dyskomforcie podczas jedzenia powoduje, że wolę nie jeść, niż jeść. Od zawsze mam nauczanie indywidualne. W szkole podstawowej i gimnazjalnej przeważnie było tak, że przez pierwsze trzy miesiące roku szkolnego do szkoły chodziłam, a gdy zaczynała się zima, przechodziłam na nauczanie indywidualne. W liceum nie dałam rady chodzić nawet przez pierwszy miesiąc, bo niestety musiałabym dojeżdżać do szkoły tramwajem (do podstawówki i gimnazjum miałam bardzo blisko, około dwóch minut spacerem), poza tym budynek szkolny jest duży, więc i schodów dużo, a wynik spirometrii już nie ten sam, co kiedyś. Zajęcia w szkole na pewno kolidowałyby z inhalacjami, lekami, porą podawania odżywek… Chociaż właściwie podczas nauczania indywidualnego nie zawsze jest kolorowo i bywa, że wszystko jest do góry nogami i gdy jeden nauczyciel wychodzi, a drugi już stoi w drzwiach, zastanawiam się, czy lepiej zrobić „szybko" pulmozymę, czy też podać nutrison….

Gdy byłam mała, nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak ważne jest branie leków, robienie inhalacji, drenaż. Zawsze leczyłam się tylko we Wrocławiu. Pamiętam, że gdy pojechałam po raz pierwszy do Karpacza, miałam 11 lat i to tam, tak naprawdę, pokazano mi, co to są „haffy", oklepywanie płatowe, jak ważny jest drenaż, który odbywa się w Karpaczu PO KAŻDEJ inhalacji, a nie tak, jak tego wcześniej w szpitalach doświadczałam: przychodziła rano rehabilitantka, trzy razy delikatnie klepnęła w jeden bok, trzy raz w drugi i „do jutra!". Po powro-

Mukowiscydoza zwana zwłóknieniem torbielowatym, jest chorobą uwarunkowaną genetycznie, po raz pierwszy opisaną w 1938 roku przez Andersena. Mutacji ulega gen kodujący białko odpowiadające za błonowy transport chloru. Uszkodzenie przejawia się zwiększeniem lepkości wydzielin gruczołów zewnątrzwydzielniczych. Objawy dotyczą głownie układu oddechowego i pokarmowego. W układzie oddechowym dochodzi do zaburzeń oczyszczania śluzowo-rzęskowego, zastoju śluzu, co sprzyja nawracającym zakażeniom bakteryjnym drzewa oskrzelowego, z czasem powstają rozstrzelenia oskrzeli oraz niewydolność oddechowa. Często współistnieją zapalenia zatok przynosowych i polipy nosa. Zmiany dotyczą również przewodu pokarmowego i są związane z zastojem soku trzustkowego. Mogą prowadzić do niedożywienia i niedoborów witaminowych. W mukowiscydozie nie istnieje leczenie przyczynowe. Celem jest usuwanie wydzieliny z dróg oddechowych, poprawa odżywiania oraz zapobieganie zakażeniom.

cie z Karpacza ja, jako małe dziecko, stwierdziłam, że tak naprawdę Wrocław, który jest dużym miastem, jest w tej wiedzy daleko w tyle i niestety przykro mi to mówić, ale minęło siedem lat i nic się nie zmieniło… Skończyłam 18 lat we wrześniu i może to dziwne, ale pierwsza myśl, jaka mnie naszła w tym dniu to „Kurde! Gdzie ja się teraz będę leczyć?!" We Wrocławiu nie ma żadnej placówki dla osób dorosłych z mukowiscydozą, nie wiem i nawet nie chcę myśleć, co by było, gdybym musiała jechać gdzieś nagle do szpitala… No bo gdzie jechać? To prawda, są jeszcze ośrodki takie jak w Karpaczu, gdzie opieka medyczna, jak i warunki sanitarne są zadowalające.

Od czerwca mam założonego PEGa i broviaca. Odżywianie poprzez PEG bardzo wzmacnia mój organizm. Minęło 8 miesięcy i w ciągu tego czasu byłam tylko raz w szpitalu na leczeniu. Pierwszy raz założenie gastrostomii proponowano mi w 2003 roku, ale oczywiście byłam mądrzejsza od wszystkich, łudziłam się, że zacznę jeść, że przytyję, a po drugie kojarzyło mi się to z takim wpychaniem jedzenia w kaczki. Teraz żałuję, że nie zgodziłam się na to wcześniej. Jeśli kiedykolwiek będę miała do czynienia z osobą, która będzie potrzebowała PEGa, a będzie miała wątpliwości, to będę starała się jej pomóc w podjęciu odpowiedniej decyzji. Sama podjęłam tę decyzję bardzo nagle, bo po prostu miałam już dość tego, że przy każdej infekcji moja waga szła w dół, a nadrobić ją nie było łatwo. Teraz nie wyobrażam sobie, jakbym mogła sobie poradzić bez PEGa, gdyby była konieczność usunięcia go. Jak wygląda mój dzień? Jak dla mnie, zupełnie normalnie. Codziennym rytuałem jest robienie inhalacji zaraz po przebudzeniu. Następnie ciepła herbata i śniadanie oraz połykanie witamin i innych leków, później szykuję się do zajęć lekcyjnych. Pomiędzy lekcjami podaję sobie nutrison, robię pulmozymę. O 18.00, gdy oglądam swój ulubiony serial, robię ostatnią czyli wieczorną inhalację. W nocy śpię pod tlenem. Gdy jest weekend lub wakacje, to chodzę na koncerty, spotykam się ze znajomymi, robię zdjęcia, czy też idę na spacer z bratem. Na wiosnę planuję kupić rower i zacząć jeździć na wycieczki rowerowe, być może z przenośnym koncentratorem tlenu, który będzie mi również potrzebny od października na studiach. Na studiach nie ma toku indywidualnego, więc będę studiowała zaocznie, bo nie chcę, żeby choroba ograniczała mnie do tego stopnia, że zablokuje mi drogę do edukacji czy utrudni mi realizację moich planów, których jest z czasem coraz więcej. Do tej pory, będąc np. w szpitalu, odbywam lekcję poprzez Skype'a, bo według mnie dla chcącego nic trudnego. Moja choroba jest nieuleczalna i czasami daje mi popalić, ale zawsze mogło być gorzej, prawda? Medycyna idzie do przodu i dzieci, które rodzą się teraz i wykrywa się u nich CF, mają o wiele więcej leków do dyspozycji niż ja, gdy byłam mała. Dlatego wierzę w to, że będzie tylko lepiej.

Karina Zawadzka

Wspomnienie o Irku

Uczył nas pokory, cierpliwości i wiary

Tak trudno jest zebrać myśli. Tyle chciałoby się powiedzieć o Irku. To miała być „historia sercem pisana", ale życie często weryfikuje nasze plany i marzenia. Stało się inaczej. Dziś zostały nam tylko zdjęcia i wspomnienia o Ireneuszku, naszym synku i bracie. O kochanym Promyczku, który pokazał nam, mimo swej niepełnosprawności i choroby, jak żyć godnie, będąc cierpiącym. To Iruś uczył nas pokory, cierpliwości i wielu innych pięknych rzeczy. Bez niego nasze życie od 30 grudnia zeszłego roku jest bardzo smutne, inne. Nie tak miało być...

Iruś przyszedł na świat jako nasze czwarte dziecko. Zdrowy, duży chłopczyk. Bardzo mu się spieszyło na ten świat, bo nawet nie zdążyliśmy dotrzeć do szpitala i mojego synka urodziłam w domu. Bez położnej i lekarza. Dojechali do nas karetką, jak już tuliłam mój skarb w ramionach. Synek dostał 9 punktów w skali Apgar i zawieziono nas do Szpitala Wojewódzkiego. Po trzech dniach mogliśmy już wrócić do domu, gdzie niecierpliwie czekała na nas reszta rodziny: mąż i rodzeństwo.

Do dziesiątego roku życia Iruś był bardzo wesołym i pogodnym dzieckiem. Miał wiele różnych pomysłów, był jak „żywe srebro". Kochał mocno świat, przyrodę, a przede wszystkim zwierzęta, które bez przerwy przynosił do domu: świnki morskie, chomiki lub myszki i oczywiście wszelkiej rasy psy i koty. Kolejna jego pasja to owady, dla których robił terraria ze słoików podbieranych z kuchni - dla koników polnych, świerszczy, mrówek i ślimaków. Miał nawet pająka, którego karmił muchami, a ja miałam z dziurami wszystkie pokrywki od słoików.

Nasz synek uwielbiał też grę w piłkę nożną, jazdę na rowerze i deskorolce. Kiedy teraz o tym myślę, mam takie uczucie, jakby on czuł, wiedział, że nie będzie długo gościć na tym świecie i czerpał pełnymi garściami radość z życia każdego dnia. Pamiętam dziesiąte urodziny Irusia. Dostał wtedy od ojca chrzestnego swoją wymarzoną deskorolkę. Byłam nawet zła na brata za ten prezent, bo wiedząc, jakie pomysły ma Irek, bałam się, że ten mój Pędziwiatr zrobi sobie na niej krzywdę. Ale to nie deskorolka stała się przyczyną nieszczęścia. Moi chłopcy zrobili sobie huśtawkę na drzewie i to właśnie bawiąc się na niej, Iruś zaplątał się w jej sznurki i doszło do przypadkowego za-

Tam Cię, synku, nic nie boli

List pożegnalny napisany przez mamę Irka i odczytany na Mszy Św. pogrzebowej chłopca

ŚP. Ireneusz przyszedł na Świat w ciepły, letni wieczór, 9 września 1994 roku. Jako najmłodszy z czwórki rodzeństwa: Adriana, Joanny i Krzysztofa. Bardzo kochany przez nas, rodziców: Małgorzatę i Marka, rozpieszczany przez dziadków: Wandę i Tadeusza, uwielbiany przez swojego ukochanego ojca chrzestnego: Krzysztofa, dorastał w dziecięcej szczęśliwości i miłości. Był pogodnym, wesołym chłopcem, mającym miliony różnych pomysłów. O takich dzieciach mówi się „żywe srebro". Wszędzie było Go pełno, był ciekawy świata i ludzi. Aż do momentu tragicznej w skutkach zabawy na huśtawce, w październiku 2004 roku. Od tej pory nasz synek, ŚP. Ireneusz swoją drogą przez ból i cierpienie uczył nas pokory, cierpliwości i wiary, że Pan Bóg nie opuścił naszej rodziny. Że wypadek, a w jego wyniku niepełnosprawność i choroba, to nie kara, lecz przemyślany plan Boga. Jesteśmy przekonani, że Bóg tak umiłował naszą rodzinę i wybrał nas i nasze dziecko, byśmy niejednokrotnie w tej trudnej walce o zdrowie ŚP. naszego synka Ireneusza doświadczali obecności Boga Ojca. ŚP. Ireneuszek spotkał wielu życzliwych i wspaniałych ludzi, przyjaciół. Przez 6 lat, 2 miesiące i 2 tygodnie miał wkoło siebie cudowne „ciocie" - pielęgniarki, „wujków" - lekarzy, cudownych ludzi z Wrocławskiego Hospicjum dla Dzieci. Myślę, że gdyby mógł, powiedziałby Wam sam w tej chwili: „Dziękuję za to, że byliście ze mną i moją rodziną. Że mogłem żyć godnie w swojej chorobie, że uśmierzaliście mój ból i cierpienie, że byliście ze mną do samego kresu, w mojej ostatniej drodze do Domu Ojca Niebieskiego".

ŚP. Ireneuszek związał się też bardzo emocjonalnie ze swoimi paniami nauczycielkami: panią Wiesią i panią Marianną, które przez 4 lata przychodziły codziennie do domu, by uczyć go świata od nowa. Wam też, drogie panie, dziękujemy, że miałyście tyle ciepła, miłości i cierpliwości dla naszego synka. ŚP. Ireneuszek odszedł od nas: rodziny, przyjaciół, koleżanek i kolegów w zimną noc grudnia, zostawiając ogromny smutek i żal. Odszedł do Domu Ojca Niebieskiego, pod opiekę Mateńki Najświętszej, bo sam już tak chciał i taka była Wola Boża. Żegnaj nasz mały, dzielny syneczku. Odpoczywaj w spokoju, dziecinko nasza. W naszych sercach będziesz zawsze zajmował szczególne miejsce. Będziemy polecać Cię w modlitwie. Dziękujemy, nasz Promyczku, że byłeś z nami przez tych 16 lat, 3 miesiące i 21 dni, że uczyłeś nas, jak żyć w chorobie i cierpieniu.

Żegnaj, Ireneuszku. Do zobaczenia w Domu Ojca naszego, w Krainie Wieczności i Szczęśliwości.

Tam Cię, synku, nic nie boli.

Tam Cię Matka Boska tuli.

Tam Ojciec Niebieski prowadza Cię „po zielonych trawach, do wód spokojnych. Pan jest Pasterzem Twoim."

Żegnaj.

Mama i Tata
z rodzeństwem i rodziną

dzierzgnięcia. Mój synek po prostu się zawiesił. Wskutek tego wypadku doszło do nagłego zatrzymania krążenia, niewydolności oddechowej i niedotlenienia mózgu. Tylko szybka reanimacja podjęta przez męża i rozpaczliwa walka lekarzy przywróciły nasze dziecko do życia.

Podczas pobytu synka na Oddziale Intensywnej Terapii Dziecięcej żyliśmy myślą, że jednak będzie dobrze i synuś będzie zdrowy. Pomimo diagnoz stawianych przez lekarzy, złych rokowań i informacji, że nie ma szans, że nasze dziecko może umrzeć lub pozostać w stanie wegetatywnym, nadal mieliśmy nadzieję. Pamiętam, jak jedna z lekarek powiedziała nam, że Iruś będzie „jak roślinka". Myślałam wtedy: jak można być tak okrutnym? A synek na przekór wszystkiemu i wszystkim chciał bardzo żyć, choć już nie był to ten sam chłopiec. Spędził na OITD miesiąc i dwa dni. Był to bardzo trudny czas. Przeżywaliśmy złe i dobre nowiny lekarzy, modląc się, by Bóg nie zabrał nam synka. Od dnia wypadku, czyli od 14 października 2004 roku życie naszej rodziny bardzo się zmieniło. Były lęk i obawa, ale również wielka nadzieja, że cuda się zdarzają. Jeszcze niedługo przed wypisaniem synka ze szpitala Pani Ordynator zaproponowała nam, by oddać Irusia do Ośrodka Opieki Długoterminowej, tłumacząc to tym, że bez specjalistycznego sprzętu nie będziemy w stanie opiekować się naszym dzieckiem. Potrzebne były ssak, łóżko i wiele innych sprzętów. Nie chcieliśmy zgodzić się na oddanie synka do Ośrodka. Pani Ordynator, widząc naszą desperację i upór, postanowiła nam pomóc i skontaktowała nas z przeuroczym, sympatycznym doktorem Gołębiowskim, który rok wcześniej założył Domowe Hospicjum dla Dzieci. I tak przez 6 lat, 2 miesiące i 2 tygodnie wspaniali ludzie o wielkich sercach, oddani swojej pracy pomagali mojemu synkowi i naszej rodzinie. Byli z nami nie tylko w trudnych chwilach, ale dzielili z nami również radości - te małe i te większe. Przez te wszystkie lata Hospicjum stało się dla nas rodziną, przyjaciółmi, których po wypadku synka nagle zabrakło wkoło nas.

Z roku na rok, widząc malutkie, maluteńkie postępy Irunia, cały czas walcząc i mając nadzieję, starałam się na przekór losowi zapewnić synkowi jak najlepszą opiekę. I tak na walce o dziecko minęło sześć lat. Rok 2010 był od początku dla naszej rodziny trudny. Najpierw starszy syn Krzyś musiał iść do szpitala na oddział kardiologiczny, potem ja od maja do sierpnia bardzo chorowałam, ale najgorsze miało dopiero nadejść. W połowie grudnia Irusiowi przyplątał się jakiś wirus. Nie wiem dlaczego, ale czułam, że nie jest to zwyczajna infekcja. Po prostu szalałam i panikowałam z lęku o niego. A on dzielnie walczył do końca, choć już był coraz słabszy. Dzień przed Wigilią, po 1,5 tygodnia walki w domu z gorączką i ostrą niewydolnością oddechową Iruś trafił na OITD, pod respirator. Wciąż wierzyłam, że się uda, zwłaszcza gdy okazało się, że Iruś trafił na oddział do naszego kochanego doktora Gołębiowskiego. Pamiętam, jak

doktor powiedział nam, że stan synka jest bardzo ciężki, że może w każdej chwili się zatrzymać i prosił, byśmy się z nim pożegnali. Prosiłam go, by mnie nie opuszczał i mój dzielny, wspaniały synek, dla mnie i swojego rodzeństwa, w cierpieniu i bólu przeżył cały ten świąteczny czas. Dając nam nadzieję po trzech dobach walki, że może jednak wyzdrowieje. No, bo jak to? Tu na świat przychodziła Boża Dziecina, a moja miała odejść? Gdzie cuda Bożego Narodzenia? I stał się cud. 27 grudnia Iruś wrócił do domu i znowu myśleliśmy, że może będzie już dobrze. Niestety, los po raz kolejny nie chciał być dla nas łaskawy. W nocy z 29 na 30 grudnia o godzinie drugiej Ireneuszek opuścił nas i powędrował do Domu Bożego. Zanim zabrano naszego synka, cały czas wydawało mi się, że to jest bardzo zły sen, że zaraz ktoś mnie obudzi, że to niemożliwe, żeby on nie żył. Dopiero teraz, powoli i z wielkim bólem dociera do mnie okrutna prawda, że już nigdy tu na ziemi nie utulę i nie ucałuję mojego syneczka. Jest jednak pewne wydarzenie, znak od Irunia. Po jego odejściu, przy łóżku postawiliśmy jego świecę komunijną. Wosk, który wylał się ze spodeczka, gdzie wypaliła się do końca, utworzył pięknego klęczącego anioła. Iruś w ten sposób dał mi znać, że jest już szczęśliwy u Boga.

Dziękuję Ci, maleńki: za czas, przez który mogłam być z Tobą, za Twoją miłość, za wszystkie radosne i smutne dni, za Twoje dziecięce psikusy, za to, czego nauczyłeś mnie Ty, synku: za pokorę, cierpliwość, odwagę, wytrwałość. Dziękuję Ci za to, że dane mi było być Twoją mamą.

Kocham Cię, Aniołku!

Twoja mama Małgorzata Rosak

Podziękowanie

Wspaniałym ludziom z Fundacji „Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci": lekarzom, pielęgniarkom, pielęgniarzom, rehabilitantom, wolontariuszom, kapelanom, Paniom z biura Fundacji za okazaną życzliwość, wyrozumiałość, cierpliwość, za wielkie serca, które macie, za oddanie swojej pracy. Za czas spędzony z nami, za troskę i pomoc w opiece nad naszym synkiem i bratem Ireneuszkiem. Za to, że byliście z Irkiem do ostatnich chwil Jego życia i pięknie Go pożegnaliście, że jesteście z nami w tych trudnych dla nas chwilach.
Z całych naszych serc DZIĘKUJEMY.
Jesteście wielcy w tym, co robicie. Dajecie tyle wspaniałych przeżyć chorym dzieciom i ich rodzinom.
Życzymy Wam wielu sukcesów i pogodnych dni.
Zawsze będziecie w naszych sercach i myślach, a Iruś, Aniołek, będzie wyjednywał Wam potrzebne łaski u Pana Boga.

Rodzice i Rodzeństwo Irka Rosaka

Kącik poezji

Wiersz dla Irka

Już tyle dni minęło
bez Ciebie, mój Aniołku.
Dom stoi cichy, wszystko umilkło
Dla nas czas zatrzymał się w biegu
Wspomnienia chwil ulotnych z Tobą
Będą mojego bólu osłodą
Odszedłeś, Skarbie, w zimną noc grudnia
Tak cicho, że nie słyszał nikt
Zgasłeś za szybko, by oswoić nas z tym
Śmierć nam Ciebie zabrała
O świcie
Lecz żalu zabrać nie chciała
Odszedłeś od nas niespodziewanie
Nie było czasu na pożegnanie
Czy Matka Boża szesnastolatka wśród aniołków potrzebowała?

Małgorzata Rosak

Pożegnanie

Trzydziestego grudnia roku dwa tysiące dziesiątego,
Pan Cię powołał do Królestwa Niebieskiego.
Biała Pani po Ciebie przyszła.
Weszła oknem,
A drzwiami razem z Tobą wyszła.
Nikogo o zdanie się nie zapytała,
Choć Twoja matka przy Tobie czuwała.
Zaprowadziła Cię przed oblicze Boga Najwyższego,
Wypełniając posługę zadaną przez Niego.
Wiem, Ireczku, że jesteś szczęśliwy, u pana Boga w niebie.
My będziemy się modlić do Niego za Ciebie.
A kiedy nadejdzie nasza godzina
I staniemy u Niebios bramy,
Wtedy się z Tobą znowu spotkamy.
Żegnaj nasz, Skarbie Kochany.

Wandzia, babcia Irusia

Biała róża

Miesiąc już minął mój Skarbie mały,
Gdy po raz ostatni Ciebie tuliłam.
Czwartego stycznia…To pożegnanie…
Białą różyczkę w Twą rączkę włożyłam.
Oczka zamknięte miałeś syneczku,
zimne i blade policzki Twoje,
a w moim sercu ogromny ból.
Z Tobą nadzieja, moje marzenia umarły, Promyczku mój
Wieko od trumny już Cię przykryło
Aniołkiem moim stałeś się
i uleciałeś prosto do Nieba
By drogę na tym świecie wskazywać mamie swej.

Małgorzata Rosak

O Uli

Był chyba początek listopada, gdy przeczytałam maila od Agnieszki - koordynatorki wolontariatu. Zapytała, czy chciałabym chodzić do jednej z rodzin. Co za pytanie! Oczywiście, że chciałam!

Aga przesłała mi zatem numery telefonów do Renaty i Mariusza - rodziców Uli, podopiecznej naszego hospicjum. Dostałam również adres, kilka niezbędnych informacji o stanie Uli i... właściwie to wszystko. Po tygodniu sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do Renaty. Umówiłyśmy się na pierwszą wizytę.

Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie. Od rana miałam zajęcia na uczelni i po nich szybciutko biegłam na autobus - nie chciałam się spóźnić na umówione spotkanie. Jeszcze przesiadka na kolejny autobus... Stałam właśnie na przystanku czekając na 119 i poczułam strach. Zaczęłam się zastanawiać, co ja właściwie wiem o tych ludziach? Jacy są? Jak mnie przyjmą? Jakie mają oczekiwania? Czy je spełnię? I co ja właściwie mam tam robić?!

Wysiadłam na pętli autobusowej. Hmm... na mapie było jakoś w lewo... Na szczęście uprzejmy staruszek wytłumaczył mi drogę. Znalazłam odpowiedni numer budynku, jeszcze domofon, furtka, druga furtka. Drzwi. A w nich rozczochrany, patrzący na mnie „spod byka" mężczyzna. A zza jego pleców taka sama, rozczochrana, tyle, że mniejsza, blond główka. I wtedy właśnie cały stres zupełnie wyparował. Bo przecież osoby z takimi włosami nie mogą być złe! Od razu widać wrażliwe, artystyczne dusze! Jak się później okazało, pierwsze wrażenie było bardzo słuszne.

Prawie od razu przeszliśmy z Mariuszem na „ty". Zostałam poczęstowana przepyszną kawą (uwielbiam, uwielbiam, uwielbiam - a ONI o tym wiedzą;) i poszłam przywitać się z Ulą. Była dużo mniejsza, niż ją sobie wyobrażałam. Taki mały szkrab z długimi nóżkami i rączkami. I wielkimi, pięknymi oczami, które od razu „rzucają się w oczy". Podałam jej rękę na powitanie, którą ona mocno ścisnęła. Prawdopodobnie zupełnie bezwiednie, ale dodało mi to otuchy. Usiedliśmy z Mariuszem, który zaczął mi opowiadać o „przygodach" Uli. Dowiedziałam się, jak Ulcia przyszła na świat, jak mijały jej kolejne lata, spędzane często w szpitalach i na turnusach rehabilitacyjnych. Ula odżywia się przez gastrostomię, a oddycha dzięki kolejnej rurce w jej malutkim ciałku - tracheostomii. Jest naprawdę malutka jak na swój wiek. Obecnie ma 7 lat, a wygląda na 4. Ma gęste włosy (to chyba po tacie) i oryginalną fryzurę (to chyba też rodzinne). Ula nie mówi, nie potrafi przełykać, nigdy też nie będzie biegać. Ma nawet problemy z siedzeniem czy obracaniem się. Z tego też powodu jest często noszona na rękach (tego jej akurat zazdroszczę!). Pamiętam, że w dniu mojej pierwszej wizyty również po raz pierwszy wzięłam Ulę na ręce. Już miałam właściwie wychodzić, gdy Mariusz poprosił, bym zaniosła ją do łóżeczka. Kładłam ją ostrożnie, uważając na te wszystkie rurki i rureczki, gdy Ula... tak bardzo mocno się do mnie przytuliła! Zamarłam. Obserwowałam ją, a ona dalej się przytulała. Do tej pory nie wiem, czy miała świadomość tego, co robi, czy nie, ale tej chwili nigdy nie zapomnę. Od tamtej pory na zawsze zmieniło się moje postrzeganie wolontariatu hospicyjnego. Wiem już, że nie jest taki darmowy i bezinteresowny. Dostaję dużo więcej, niż się spodziewałam. Otrzymuję dziesięciokrotnie więcej, niż daję. Czasem jest mi z tym aż głupio.

To była moja pierwsza wizyta, a teraz? Bardzo lubię przychodzić do Uli. Najczęściej już od progu witają mnie trzy gromkie okrzyki : „cześć"! Jeden z nich należy do Mariusza, taty Uli, a dwa pozostałe do Kuby i Marka - jej braci. Rzadziej słyszę głos Renaty, która dużo pracuje. Albo ma zajęcia w szkole albo wywiadówkę. Za to po powrocie z pracy zawsze tryska energią. Widać, że wszyscy oczekują jej powrotu z niecierpliwością, szczególnie mały Marek. On ma chyba jakieś radary, bo zawsze wie, kiedy mama zaraz wejdzie do domu.

Szkoda tylko, że Ula nie może mi powiedzieć „cześć". Choć chyba wszyscy, łącznie ze mną, wierzą, że kiedyś jej się to uda. Czasami Mariusz lubi sobie pożartować i „wysyła" Ulę po zakupy lub wywiesić pranie. Dobry nastrój go chyba nigdy nie opuszcza. Zawsze jest uśmiechnięty i wesoły. To taki typ super-taty. Z podziwem patrzę, jak opiekuje się Ulą. Karmi ją, inhaluje, odsysa, przewija, jednocześnie coś gotuje i pomaga Kubie

w lekcjach, Markowi odpowiada na tysiące pytań, a w międzyczasie jeszcze wyciąga to pranie, którego Ula nie rozwiesiła... Lubię patrzeć, jak Mariusz krząta się po domu. Dużo się wtedy uczę, szczególnie tego, że wszystko można robić z uśmiechem:) Optymizmem zarażają również chłopcy. Marek - bardzo ciekawy świata czterolatek, lubi o wszystko pytać i nie uznaje braku odpowiedzi. Dzięki temu, odkrywam czasami w sobie zakopane gdzieś szare komórki, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Marek nauczył mnie także, kim jest smerf (wyjaśniam: smerf to smerf. Wiedzieliście o tym?) oraz potwierdził życiową prawdę, że bałagan robi się sam (tylko sam nie chce się sprzątać). Zawdzięczam mu również nadrobienie bajkowych zaległości (tylu bajek, co z Markiem, nie obejrzałam w ciągu ostatnich 10 lat). A Kuba.... Ach Kuba... Albo raczej: Och Kuba!. Rzeczywiście ma wysoko rozwinięty urok osobisty i nie waha się go używać! To bardzo bystry chłopak, który bardzo nie lubi odrabiania lekcji. Ale jak na amanta przystało, potrafi z tej sytuacji pięknie wybrnąć. Wystarczy kilka TAAAKICH spojrzeń jego wielkich oczu i już siedzimy razem nad ćwiczeniami z polskiego, angielskiego, wyszywamy geometryczne wzory lub robimy konspekt z francuskiego, mimo, że nie znam w tym języku ani jednego słowa!

Z domu państwa Jędrusików wychodzę czasami później niż zamierzałam. To dlatego, że miło spędzone chwile szybciej płyną. Żałuję, że nie mam więcej wolnego czasu i nie mogę częściej odwiedzać Uli. Ta mała, kochana istotka oddaje mi chyba połowę energii, której sama zużyć nie może, tak jak jej zdrowi rówieśnicy - na zabawę, bieganie, czy naukę. Do tego zarażający optymizm oraz uśmiech pozostałych członków rodziny sprawia, że mój własny akumulator pozostaje naładowany na maksa, co najmniej do następnego spotkania! Bardzo, bardzo Wam za to dziękuję!

Irmina
Wolontariuszka

Majówka 2011

Oscary w maju? Tak, ale tylko dla najlepszych. A o czym konkretnie mowa? O Akademii Filmowej na Górze Św. Anny. Ale nie tak szybko.

Najpierw pobawiliśmy się kolorową chustą animacyjną - był to czas poznania, czas pierwszych uśmiechów i przygotowanie do spaceru. Na nim przywitaliśmy się z Górą Św. Anny, odwiedziliśmy Muzeum Misyjne i zjedliśmy pierwsze lody. Po tak rozpoczętym dniu przyszła pora na poważne potraktowanie zdania dzieci - ustaliliśmy zasady i spisaliśmy grupowy kontrakt.

Kolejnego dnia oczekiwany moment nadszedł już po śniadaniu. Opuściliśmy Górę Św. Anny i wybraliśmy się nie gdzie indziej, jak do samego Hollywood, gdyż to właśnie tam kręci się najlepsze superprodukcje. W trakcie trzygodzinnych warsztatów dzieci opracowały scenariusze, stworzyły gazetowe kreacje i nakręciły własne niezależne produkcje filmowe. Skupienie i zaangażowanie było widać na twarzach wszystkich, zwłaszcza Jaśka - wolontariusza, który podjął się montażu dziecięcej twórczości. Po powrocie z Hollywood przyszedł czas na odpoczynek. Był nim spacer po rezerwacie przyrody, w którym dane nam było zobaczyć pozostałości zjawisk wulkanicznych oraz wspaniały amfiteatr (tutaj usłyszeliśmy piękny i donośny śpiew jednego z uczestników). Mimo tak aktywnego dnia mieliśmy jeszcze siłę na chwilę pokory podczas niedzielnej mszy wieczornej, ognisko oraz ... tak, tak - **UROCZYSTĄ GALĘ ROZDANIA OSCARÓW**. W świetle reflektorów ujrzeliśmy wspaniałe filmy i osiemnastu laureatów tegorocznych Oscarów, w bardzo nietypowych kategoriach takich jak: ziomek roku, najlepszy monolog, galop roku czy najlepsza scena kaskaderska. Po nagrodzeniu aktorów nadszedł czas na bankiet i rozmowy na poziomie, czyli po prostu dyskoteka i zabawa. Czy po tak intensywnym dniu dzieci wstaną na śniadanie o 9.00? Już o 7 rano spadający kamień z serca rozwiał nam związane z tym obawy. Po dwóch dniach zabawy przyszła pora na wyjazd do Wrocławia. Wydłużyliśmy jednak drogę powrotną odwiedzając Opole, a w nim Muzeum Wsi Opolskiej, Rynek oraz kręgielnię.

Podczas tegorocznej majówki dowiedzieliśmy się wiele o sobie. Wiemy już: kto nie lubi mięsa, kto najszybciej biega, kto ma najśmieszniejszy śmiech, kto zasługuje na Oscara i kto najgłośniej chrapie. I właśnie taki był cel tegorocznej majówki - poznanie siebie nawzajem i wspólna integracja. Dlatego Drogie Dzieci jestem rad, że potrafiłyście tak wspaniale pracować w grupie oraz dziękuję, że pozwoliłyście nam wejść w świat Waszej twórczej wyobraźni i przypomniałyście nam, że balony służą nie tylko do dekoracji.

Piotr Smakulski
Wolontariusz

Dwa tygodnie kwietnia, które mamy za sobą były niezwykle intensywne. I żółte.

Pola Nadziei - pierwszy rok, pierwsza radość!

Na kwiaty, balony, naklejki i ludzi w tym kolorze można było natknąć się w centrach handlowych, pod kościołami, na ulicach Wrocławia, w Rynku, w Parku Południowym oraz na Wyspie Słodowej. Wszędzie tam wolontariusze swoją obecnością zaświadczali o tym, jak dobrze jest pomagać i dawać nadzieję. Jak zwykle dzieci mogły zażyczyć sobie bajeczne wzory do wymalowania na buziach, odchodziły od nas radosne wymachując balonami. Dorośli dowiadywali się o tym, czym jest i jak działa domowe hospicjum dla dzieci i jak można podzielić się tym, co mają - czasem, pomysłami, pieniędzmi, dobrym słowem.

Właśnie czasem i doświadczeniem dzielili się z nami przy Polach Nadziei wolontariusze z Senior Pomaga i Centrum Wolontariatu. To ich spokój, wyważenie i dobry nastrój dawały wytchnienie. Wsparły nas też osoby prywatne, słuchacze szkoły pielęgniarskiej, studenci i wykładowcy Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, uczniowie Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Karola Szymanowskiego we Wrocławiu.

Oprócz wolontariuszy działających przy naszej Fundacji były wielkie rzesze dzieci i młodzieży z wolontariatu szkolnego, którzy już od października były zaangażowane w nasze działania. To oni z niespożytym entuzjazmem pompowali balony, rozdawali naklejki i ulotki, obdarzali entuzjazmem i radością. Bez nich też nie byłby tak żywy jak był Żółty Pochód Życia, który przemierzył dystans Muzeum Narodowe - Pergola. Na czele pochodu maszerowała dzielna ekipa Os Loucos, która dodawała animuszu maszerującym. Wielkie dzięki!

Jako organizatorzy bardzo cieszymy się z tak przyjaznego przyjęcia idei Pól Nadziei przez szkoły oraz wszystkie organizacje, firmy i osoby prywatne, które nam pomogły przy tym przedsięwzięciu. Udało nam się dotrzeć z informacją o naszej pracy i potrzebach dzieci do kolejnych osób. Mamy nadzieję, że zaowocuje to empatią i zwiększoną wrażliwością na los nieuleczalnie chorych dzieci.

Zebrane pieniądze przeznaczymy na opłacenie rehabilitacji naszych podopiecznych. Na połowę maja mamy ponad 70 000 zł. To kwota, która nas bardzo zaskoczyła i dała nadzieję właśnie. Do końca maja w szkołach i przedszkolach trwają festyny, pikniki, akcje, koncerty, i ta pula finansowa jeszcze wzrośnie.

Podziękowanie

Gorąco dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do przeprowadzenia debiutanckich Pól Nadziei. Wolontariuszom Fundacji za wsparcie organizacyjne, wolontariuszom szkolnym za wielkie zaangażowanie i entuzjazm. Nauczycielom za wielkie serca i emptię, a sponsorom za szeroki gest. Bez Waszego wsparcia i wiary w powodzenie nie udałoby nam się wspólnie działać i osiągnąć takiego sukcesu. Ma on dla nas wymiar nie tylko finansowy, ale przede wszystkim edukacyjny. Dziękujemy.

Beata Hernik-Janiszewska

Pola Nadziei - Domaniów

Pola Nadziei zawitały także do Domaniowa. Jesienią młodzież ze Szkolnego Koła Caritas działającego w tutejszym Zespole Szkół im. Jana Pawła II, wzięła udział w sadzeniu żonkili. Posadziliśmy wokół szkoły 260 cebulek.

7 kwietnia przeprowadziliśmy pierwszą kwestę żonkilową na terenie Domaniowa, połączoną m.in. z rozdawaniem ulotek informacyjnych, sprzedażą żonkili i kwestowaniem na rzecz Wrocławskiego Hospicjum dla Dzieci. W niedzielę 10 kwietnia kwestowaliśmy w kościołach domaniowskiej parafii.

Finałem akcji był zorganizowany w szkole 15 kwietnia kiermasz świąteczny, którego przygotowanie zintegrowało całą społeczność szkolną. W szkole przygotowaliśmy stoiska, na których można było kupić pisanki i stroiki wielkanocne. Hitem kiermaszu okazały się żonkile wykonane z bibuły. Przeprowadziliśmy także konkursy: rysunkowy „Pola nadziei", „Kosz wiosennych kwiatów" oraz „Wielkanocna pisanka". Laureaci konkursów otrzymali nagrody książkowe i słodycze. Dużą atrakcją naszego kiermaszu była parada motocykli; pod szkołę zajechało dziesięć wspaniałych maszyn. Miłośnicy dwóch kółek, uczestniczący w naszej akcji, są częstymi gośćmi na tego typu imprezach charytatywnych na terenie całego Dolnego Śląska.

Przeprowadzone przez nas akcje miały wymiar społeczny. Dzięki zaangażowaniu młodych wolontariuszy oraz wszystkich uczniów naszej szkoły, wzrasta w naszej społeczności świadomość potrzeby niesienia bezinteresownej pomocy osobom chorym i cierpiącym. Wszystkim darczyńcom serdecznie dziękujemy!

Cecylia Kopka

W akcji Pola Nadziei wzięły udział wrocławskie przedszkola i ponad 40 szkół nie tylko z Wrocławia, ale też z Tyńca Małego, Kobierzyc, Malczyc, Chocianowa, Szczepanowa, Kamiennej Góry oraz Lubania. Relacje szkół, które wzięły udział w akcji Pola Nadziei można przeczytać na naszej stronie www.hospicjum.wroc.pl.

1. Rozwiąż rebus

.....

~~ŁA~~ ~~RTY~~ ~~Ż~~ ~~Ż~~ ~~M~~ Y=A

1.Przejdź przez labirynt i zbierz wszystkie żonkile. Tą samą drogą możesz przejść tylko raz.

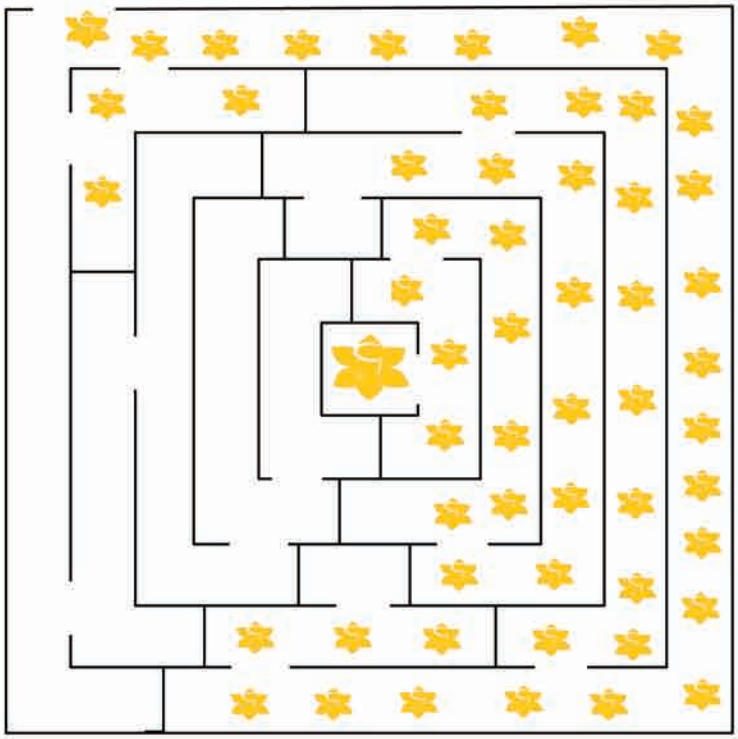

Znajdź biedronki-bliźniaczki

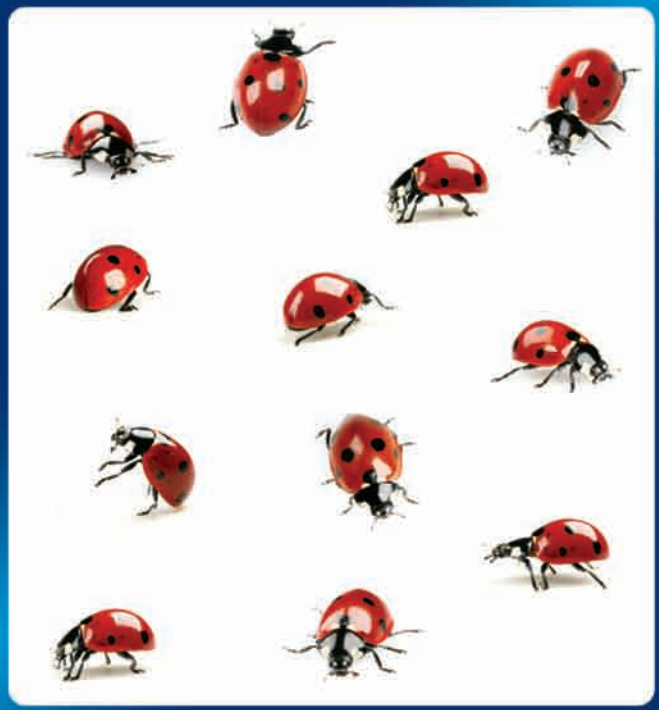

Nazwij wiosenne kwiatki i wpisz ich nazwy w kratki.

1
2
3
4
5

1 ☐☐☐☐☐☐ 3 ☐☐☐☐☐☐ 5 ☐☐☐☐☐☐

2 ☐☐☐☐☐☐☐☐☐☐☐ 4 ☐☐☐☐☐☐☐

Wspólne przeżywanie smutku

„Pojawiają się w naszym życiu – planowane, wyczekiwane, czasem są nieprzewidzianą niespodzianką. Zanim zdążymy się nimi nacieszyć, pokazać im, jak je kochamy – odchodzą" – mówią o sobie osieroceni rodzice.

Ich opowiadania kończą się tak samo - „śmierć dziecka i poczucie pustki". Strata dziecka ma swoją specyfikę. Oddają ją pewne bardzo mądre słowa: „kiedy umierają nasi rodzice - z nimi umiera nasza przeszłość. Kiedy umiera nasz mąż (żona) - z nim umiera nasza teraźniejszość. Kiedy umierają nasze dzieci - z nimi umiera nasza przyszłość". Rodzice stają na cmentarzysku swojego życia. Plany i marzenia snute wokół latorośli, oczekiwania, szczęście, przewidywane radości - których mieli doświadczyć w swym rodzicielstwie - legły w gruzach. By mogli budować swoje nowe życie, które już nigdy nie będzie takie samo jak przed śmiercią dziecka - musi pojawić się nadzieja. To wymaga czasu i przejścia trudną i bolesną drogą żałoby po stracie. Nie ma odpowiedzi jak długo powinna ona trwać. Każdy przeżywa ją w sposób indywidualny.

Przejście całego procesu żałoby jest warunkiem poradzenia sobie z traumą, jaką jest śmierć dziecka. Poradzenie sobie oznacza przyjęcie i zaakceptowanie tego wydarzenia w ciąg własnego życia, a nie izolowanie się od niego. Nie zawsze rodzinie uda się wspólnie przejść przez żałobę i któryś z jej członków może pozostać sam ze swoim bólem i cierpieniem. Potrzebna jest wtedy pomoc psychologa lub terapeuty, gdyż osieroceni rodzice sami nie są w stanie wrócić do zdrowia.

Jedną z form pomocy dla osób po stracie dziecka są grupy wsparcia, które zmniejszają poczucie opuszczenia i samotności. Oparte są na wspólnym przeżywaniu tego, co trudne i bolesne. Jedność doświadczeń powoduje, że rodzi się głębokie zrozumienie, empatia i chęć wzajemnej pomocy. Badania pokazują, że grupy wsparcia, będące źródłem oparcia dla osób dotkniętych żałobą, bywają skuteczniejsze od profesjonalnej pomocy. Samo poczucie jedności ma działanie terapeutyczne. Otwartość grupy pozwala na nieskrępowane mówienie o swoim cierpieniu, rozpaczy i lęku, bez udawania i uciekania w maskowanie prawdziwych emocji.

Udział w grupie wsparcia jest dobrowolny i dostosowany do potrzeb uczestnika. Nie ma obowiązku mówienia, często sama obecność i słuchanie wystarczy, by pomóc sobie w rozumieniu i przeżywaniu żałoby.

Jaki cel ma grupa wsparcia?

Grupa wsparcia w żałobie ma pokazać wszystkie etapy żałoby wraz z praktycznymi wskazówkami dotyczącymi radzenia sobie na każdym z nich. Oprócz tego daje możliwość otwartego wyrażania uczuć związanych ze śmiercią dziecka, a także dzielenia się nimi, co pozwala na przejście od szoku - przez zaprzeczenie, rozpacz, poczucie krzywdy i złość - do fazy przebudowania własnego życia i życia całej rodziny. Z czasem, grupa wsparcia zaczyna pełnić również rolę grupy towarzyskiej, nasyconej silnymi więziami bliskości. Nawiązują się nowe przyjaźnie, pojawiają wspólne płaszczyzny porozumienia, nie związane z doświadczeniem straty.

Oprócz klasycznego powodu, jakim jest chęć przebywania i dzielenia się swoją żałobą z rodzicami, którzy są w takiej samej sytuacji, niezmiernie ważnym elementem wpływającym pozytywnie na rodziców jest fakt, że znają się oni między sobą z okresu leczenia swoich dzieci, wspólnie przechodzili przez trudy, smutki i wzruszenia podczas pobytu w szpitalu.

Spotkanie grupy wsparcia działającej przy Wrocławskim Hospicjum dla Dzieci podzielone jest na dwie części. Pierwszą jest msza święta w małej kaplicy odprawiona wyłącznie dla rodziców. Ma ona charakter symboliczny, a wszystkie jej fragmenty nawiązują do dzieci, które odeszły. Msza jest bardzo wzruszającym i ogromnie ważnym elementem terapii rodziców.

Drugą częścią jest rozmowa prowadzona przez dwie psycholożki i ojca duchownego. Dotyczy ona problemów żałoby, z jakimi stykają się rodzice oraz wymiany doświadczeń, jak sobie z nimi radzić. Spotkanie ma swoją szczególną atmosferę. Rodzice z reguły znają się dość dobrze już z okresu leczenia w szpitalu, dlatego też nawet na pierwszym spotkaniu nowi rodzice dość dobrze wrastają w grupę.

Rodziców łączy wspólny dramat, przez który przechodzą, jednakże z każdym spotkaniem coraz ważniejsza staje się druga kwestia - przyjaźni, która się między nimi zawiązuje. Atmosfera staje się coraz bardziej rodzinna. To miedzy innymi powoduje, że wbrew pozorom spotkania grupy nie są zdominowane przez smutek i płacz, nierzadko pojawia się na nich śmiech... Ten specyficzny klimat tworzony jest przez samych rodziców. Spotkanie grupy nie ma na celu, aby psycholog czy też duchowny opowiadali rodzicom, co mają czuć i jak postępować. To rodzice prowadzą spotkanie, rozmawiają, opowiadają o swoich przeżyciach i uczuciach. Każdy może wypowiedzieć się kiedy chce i jak chce. Jeśli nie odczuwa takiej potrzeby, nikt nikogo nie namawia do zabrania głosu. Jest to przeniesienie tych samych kontaktów, jakich rodzice doświadczyli w szpitalu kiedy

najczęściej osobami, które najbardziej mogły wesprzeć - byli inni rodzice walczący z chorobą swojego dziecka.

Nie da się powiedzieć, co jest dla rodziców ważniejsze - czy właśnie msza czy spotkanie grupy. Każdy do tego podchodzi indywidualnie. Najistotniejsze w tym jest to, że obydwie te części są ze sobą ściśle powiązane i nieodłączne.

Spotkania grupy odbywają się raz w miesiącu (w ostatnią sobotę każdego miesiąca) w kościele przy ulicy Kruczej.

Osoby czujące potrzebę jakiegokolwiek wsparcia w żałobie po utracie dziecka, a przede wszystkim chęć porozmawiania z kimś, kto doświadcza tego samego problemu, prosimy o kontakt: Agnieszka Wąsowicz 609 220 550 i Magdalena Kunaj 603 700 695.

Dlaczego grupa wsparcia może być Ci potrzebna?

- Spotkania z innymi ludźmi przeżywającymi żałobę pomagają w bolesnym poczuciu osamotnienia.
- Wiedza teoretyczna o tym szczególnym etapie życia da Ci po czucie bezpieczeństwa i zrozumienie uczuć oraz procesów, które przeżywasz.
- Poczujesz się akceptowany z emocjami i przeżyciami, które Tobie samemu trudno jest zrozumieć.
- Znajdziesz ludzi, którym możesz zaufać i powierzyć im swoje myśli i uczucia. Szybciej niż w samotności i izolacji zaakcep tujesz swoje cierpienie i odzyskasz radość życia.

Magdalena Kunaj
Psycholog

Kącik poezji

Bądź lepszy

Bądź lepszy- Pomóż tym, którzy stracili wiarę.
Tym ,którzy stracili marzenia.
Tym, których radość ucichła.
Gdy byłeś w potrzebie, pomogli Ci.
Teraz idź i pomóż im.
Obdaruj miłością, a świat stanie się lepszy.
Daj ludziom wiarę, nadzieję.
A nigdy nie będziesz sam.
Spraw niech uśmiechną się dzieci beznadziejnie chore.
Otwórz oczy. Otwórz serce. Podaj pomocną dłoń.
Zrób coś więcej.

Kochajmy się

Uśmiechajmy się.
Szanujmy się.
Tak, jakby był to nasz ostatni dzień.
Nie wiemy, ile jeszcze żyć będziemy.
Dlatego kochajmy się, szanujmy się, uśmiechajmy się.
By nie okazało się, że był to nasz ostatni dzień.
A my nie kochaliśmy się, nie uśmiechaliśmy się,
Nie szanowaliśmy się.
Byśmy nie żałowali, że ktoś odszedł
A myśmy go za mało kochali.

Mariola Murzyniak

Kącik wdzięczności

Składamy wielkie podziękowania firmie AFI Group S.A.
za zrozumienie naszych potrzeb i przekazanie
Fundacji „Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci”
darowizny finansowej, którą przeznaczymy na zakup
bardzo potrzebnego nam samochodu.
W naszej pracy samochód jest tak samo niezbędny
jak stetoskop.

AFI Group to Spółka Akcyjna o charakterze finansowym, zajmująca się sprzedażą produktów inwestycyjnych.

AFI Group SA

Serdecznie dziękujemy
za nieocenioną pomoc
przy realizacji
„Promyków Nadziei”

Ani Korman,
Dominice Mrożek-Korpeckiej
i Joli Baran.

Bez Was by się nie udało.

FUNDACJA
Wrocławskie
Hospicjum
dla Dzieci

Al. Wiśniowa 36, 53-137 Wrocław
KRS 0000287982 NIP 894-292-33-64
www.hospicjum.wroc.pl
fundacja@hospicjum.wroc.pl
tel: +48 665 614 145

Numer konta:
BRE BANK S.A.
69 1140 1140 0000 2052 8800 1001 (PLN)
42 1140 1140 0000 2052 8800 1002 (EUR)

Nadzieja zamiast bukietu

Zachęcamy wszystkich nowożeńców, by włączyli się w akcję pomocy Fundacji „Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci". To proste i nie wymaga dużego wysiłku. Wystarczy namówić weselnych gości, by zamiast przeznaczać pieniądze na okazałe wiązanki, przekazali je w darze małym pacjentom. Równowartość bukietu można włożyć do koperty z napisem „kwiaty".
Karnety przygotowane specjalnie do zaproszeń ślubnych dostępne są na stronie fundacji: **www.hospicjum.wroc.pl**

Nadzieja jest piękniejsza niż najwspanialsze wiązanki.

Dodatkowo, równie cenną formą wsparcia akcji jest rozpowszechnianie wiedzy o niej. Weź ulotki z Hospicjum i zanieś je do parafii, sal ślubnych, salonów sukien – we wszystkie miejsca, które musi odwiedzić młoda para, by zorganizować ślub i wesele.

Poinformuj swoich znajomych, że istnieje taka forma pomocy dzieciom.

Aby dostać ulotki zadzwoń: 795 524 910 lub napisz maila fundacja@hospicjum.wroc.pl, prześlemy je pocztą.

Jesteśmy wdzięczni za każdą pomoc.

www.hospicjum.wroc.pl